

**Daudet Alfons**

**NOWELLE**

Tłumaczył  
Z. Niedźwiecki.

**KOZA PANA SEGUIN.**

Do P. Piotra Gringoire, poety-liryka w Paryżu.

Zawsześ tedy ten sam, mój biedny Gringoire!...  
Jakto?!... Ofiarują ci miejsce kronikarza w niepierwszym  
lepszym dzienniku  
paryskim i ty masz odwagę odmawiać?!... Ależ przypatrz się  
sobie dobrze,  
nieszczęśniku!... Obejrzyj swoją dziurawą zarzutkę,  
rozlatujące się spodnie i  
swoją chudą twarz, krzyczącą w niebogłosy: jeść!... Oto,  
dokąd cię zaprowadziła  
twoja pasya do pięknych rymów!... Oto, ile są warte dziesięć  
lat lojalnej służby  
w orszaku paziów Jaśnie Oświeconego Apolla... Nie masz że  
w tobie nareszcie ani  
za grosz wstydu?  
Bierz mi się zaraz do kronik, głuptasie jeden, natychmiast do  
kronik!... Posypią  
ci się franki, jak z nieba: będziesz jadał u Brebanta, nie  
opuścisz żadnej  
premiery...

Nie?... Nie chcesz?!... Wolisz pozostać niezależnym do końca panem woli własnej... Dobrze. Posłuchaj jednak w takim razie historyjki o "Kozie pana Seguin." Zobaczysz, do czego się dochodzi, kiedy się chce koniecznie być wolnym.

\* \* \*

Nie chciało się pana Seguin ani rusz wieźć z jego kozami. Tracił jedną po drugiej w ten sam zawsze sposób: pewnego pięknego ranka urywały sznur, uciekały w góry i padały tam niebawem ofiarą wilków. Ani pieśczoły pana, ani strach przed wilkiem, nic ich nie było zdolnem wstrzymać. Były to, jak się zdaje, kozy niezależne, pragnące za każdą cenę powietrza i wolności. Poczciwy pan Seguin, niezdolny pojąć charakteru swoich bydlatek, martwił się, aż w końcu sobie powiedział: — Skończyło się. Kozom się u mnie nudzi... Nie przychowam ni jednej. Nie poddał się mimo to zniechęceniu i postradawszy sześć kóz w jeden i ten sam sposób, kupił siódmą; tylko że tym razem postarał się o całkiem młodą, aby się łatwiej mogła przyzwyczaić do pozostania u niego. Ach Gringoirze! Jakaż była ładniutka ta kózka pana Seguin!.. Jak ładne i jakie

pocziwe miała oczy, jak jej było do twarzy a jej podoficerską  
bródką, czarnemi  
i lśniącemi bucikami, różkami w prążki i długą, białą sierścią,  
okrywającą ją  
płaszczem; było to stworzonko równie niemal urocze, jak  
koźle Esmeraldy.  
pamiętasz Gringoire?.. A przytem uległe, pieszczotliwe,  
spokojne, gdy ja dojono,  
i nie wkładająca w ceber kopytek; istny klejnocik, nie koza...

Pan Seguin miał po za domem ogrodzenie, obrosłe tarniną.  
Tam to umieścił nową  
swą lokatorkę; uwiązawszy ją do pieńka na najpiękniejszym  
kawałku łąki, starał  
się, aby miała sznur dostatecznie długi i zaglądał od czasu do  
czasu, czy jej  
tani dobrze. Koza czuła się szczęśliwą nad wyraz i chrupała  
trawkę z tak  
szczerym apetytem, że pan Seguin był nią zachwycony.  
— Nareszcie! — pomyślał biedaczysko — nareszcie  
znalazłem sobie taką, której nie  
będzie u mnie nudno.  
Pan Seguin był w błędzie; koza się nudziła.

\* \* \*

Pewnego dnia, napatrzywszy się w góry, powiedziała sobie:  
— Jakże tam ładnie być musi, tam, wysoko. '... Co za rozkosz  
wyprawiać susy  
wśród krzaków, bez tego przekłętego postronka na szyi, który  
człowieka za gardło

dusi... To prawie dla osła albo wołu paść się w opłotkach...

Koza potrzebuje

przeźreni!...

Od tej chwili trawa w ogrodzeniu wydała się jej mdłą. Zaczęła się nudzić.

Chudła; mleko jej zrzadło. Litość zbierała patrzeć, jak naciągała codziennie

swój sznur, z głową, zwróconą ku górom, z rozdętymi nozdrzami, pobekując smutno:

mee!...

Pan Seguin spostrzegł wprawdzie, że kozie coś jest, nie wiedział jednak, co...

Aż pewnego rana,

zaraz po wydoju, koza obróciła się do niego i rzekła swoim kozim żargonem:

— Słuchajno pan, panie Seguin, ja tutaj u pana uschnę!... Puść mnie pan w

góry!...

— Mój Boże! I ona także!... — wykrzyknął pan Segnin osłupiały i upuścił skopek;

następnie usiadł w trawie obok swej kozy i zaczął:

— Jak to Blamquetto?... Chcesz mnie opuścić?... Blanquetta odparła:

— Tak, panie Seguin.

— Czy ci tu trawy nie dosyć?

— O nie, panie Segnin!

— Może jesteś za krótko uwiązana? Chcesz, to ci przydłużę sznura?...

— Szkoda fatygi, panie Seguin.

— Więc czegoż ci potrzeba?... Mów, czego chcesz?...

— Chcę iść w góry, panie Seguin.

— Ależ nieszczęsna! nie wiesz, że w górach jest wilk... Co poczniesz, skoro do

ciebie przyjdzie?... — Pobodę go rogami, panie Seguin.

— Wilk sobie kpi z twoich rogów. Pożarł on mi kozy, które miały lepiej niż twoja

uzbrojone głowy... Wiesz przecie, stara Renata, którą miałem zeszłego roku?...

Wspaniała koza! zła i mocna jak cap. Walczyła z wilkiem całą noc... a rano wilk

ją zjadł.

— O la Boga! Biedna Sonata!... Ale to nic, panie, Seguin.

Pozwól mi pan iść w

góry.

— Miłosierdzie boskie! — zawołał pan Seguin.

— A cóż się to z memi kozami wyprawia? Znowuż mi jedną wilk zeżre?... Oho, nic z

tego... Ocaleją cię. pomimo twej woli, hultajko; ponieważ się zaś obawiam, abyś

mi nie zerwała sznura, zamknę się w stajni, gdzie pozostaniesz raz na zawsze.

To rzekłszy pan Seguin zaprowadził kozę do całkiem ciemnej stajenki i zaniknął

drzwi od tejże na dwa spusty. Nieszczęściem zapomniał o okienku, to też zaledwie

się od stajni odwrócił, kózka hyc oknem i w nogi!...Śmiejesz się Gringoire?...

Do diaska! nie dziwię się. Tyś przecie z pod znaku kóz — a przeciw panu

Seguin... Obaczym, czyli cię śmiech, wnet nie opuści...

Przybycie białej kózki w góry wywołało powszechny zachwyty. Nigdy jeszcze stare jodły nie widziały czegoś równie ślicznego. Przyjęto ją jak jaką królową.

Kasztany przygięły się do samej ziemi, ażeby ją końcami swych gałęzi popieścić.

Złociste kwiatuszki janowca otwierały się, gdy mimo nich przebiegała i pachły jak tylko mogły najmocniej. Co tylko żyło w górach, witało ją radośnie.

Możesz sobie wyobrazić, Gringoire, jaka nasza kózka była szczęśliwa. Żadnych sznurów! żadnych kołków!... nic, coby przeszkadzało fikać i raczyć się trawą do syta... Tu było dopiero świeżej paszy w bród!... Mój drogi!... I co za paszy!...

Soczystej, delikatnej, złożonej z tysiąca wybornych ziół... To

zupełnie co innego niżeli mizerny trawnik w zagrodzie, A te kwiaty!... Duże.

niebieskie dzwonki, purpurowa naparstnica o wydłużonych kielichach, cały las

dzikiego kwiecia, pełnego upajających soków!...

Biała koza, napół pijana, tarzała się w nich, zadarłszy w górę wszystkie cztery

kopytka i staczała się ze zbytków po pochyłości razem z spadłymi liśćmi i

kasztanami... Naraz zerwała się jednym skokiem na równe nogi. Hop! — i już jej

nie ma. Głową naprzód dawała susy ponad głazy i krzaki, to się spinając na

szczyt skalisk, to przepadając w parowach, znikając i  
pojawiając, się ta, tam,  
wszędzie.., Rzekłbyś: dziesięć kóz — nie jedna jedyna kózka  
pana Seguin —  
rozbija się po górach.  
Wszystko to zaś dlatego, że Blanquetta nie lękała się niczego!  
Jednym śmiałym  
skokiem przesadzała szerokie potoki, opryskując ją pianą i  
pyłem wodnym.  
Wówczas, cała ociekająca wilgocią, wyciągała się na jakiejś  
płaskiej skale i  
suszyła się do słońca... Raz, wysunąwszy się na skraj  
płaszczyzny z kwiatem  
szczodrzenicy w pyszczku, spostrzegła na samem dnie doliny  
cłom pana Seguin, po  
za nim ogrodzenie, w którym się na uwięzi pasła. Widok ten  
rozśmieszył ją do  
łez.  
— Jakież to małe! — rzekła. — Jak ja się tam mogłam  
pomieścić!...  
Biedactwo! widząc się teraz tak wysoko, myślała, że jest co  
najmniej tak wielką  
jak świat...  
Koniec końców piękny to był dzień w życiu

kozy pana Seguin!... Biegając tam i sam, wpadła około  
południa w stadko kozic,  
obgryzających właśnie dzikie wino pięknymi zębami. Widok  
naszego małego biegana  
w bielutkiej szacie sprawił dzikim jej kuzynom sensację.  
Odstąpiono jej zaraz

najlepsze miejsce u winnego krzewu i wszyscy ci panowie  
prześcigali się wobec  
niej w galanterji... Zdaje się nawet, — nich to jednak, mój  
Gringoire, między  
nami zostanie — że pewien młody koziołek o ciemnej sierści  
miał to szczęście  
podobać się Blanquecie. Oboje zakochani zniknęli w lasku na  
godzinkę czy dwie, a  
jeżeli chcesz się dowiedzieć, co sobie tam powiedzieli, idź o to  
zapytaj  
gadatliwych źródełek, przeciskających się niewidzialnie  
popod mchem...  
Wtem wiatr powiał chłodem. Góry przybrały kolor fioletu:  
zmierzchało się.  
— Już?!... — zawołała kózka z żalem i zatrzymała się,  
zdziwiona wielce.  
W dolinie pola zalane były mgłą, Zagroda pana Seguin  
zniknęła w oparze, widać  
było zaledwie dach domku i nieco dymu; posłyszawszy  
dzwonki wracających do domu  
trzód, uczuła Blanguetta w duszy smutek... Przelatujący sęp  
musnął ją brzegiem  
skrzydeł... Zadrżała... A potem rozległo się w górach wycie:  
— HUUU!... HUUU!...  
Przyszedł jej na myśl wilk; przez cały dzień, szalona, ani o  
nim pomyślała... W  
tej samej chwili

róg zabrzmiał w dolinie zdaleka. To ten poczciwy pan Seguin  
próbował ostatniego  
sposobu.



— HUUU!... HUUU!... — wyło wilczysko.  
— Wracaj! wracaj!... — nawoływał z przeciwnej strony róg.  
Blanquette poczęła już zbierać ochota do powrotu; ale  
wspomniawszy pniak, sznur,  
żywopłot ogrodzenia, pomyślała, że nie potrafiłaby się już  
teraz nagiąć do  
takiej egzystencji, i że lepiej będzie pozostać...  
Róg przestał brzmieć.  
W tej chwili koza posłyszała z tyłu, po za sobą, szmer liści.  
Obróciła się i  
ujrzała w zmroku parę krótkich, prosto w górę sterczących  
uszu i dwoje oczu, jak  
dwa płomyki... To był wilk.  
Ogromny, nieruchomy, usiadłszy na pośladku, wpatrywał się z  
lubością w białą  
kózkę, rozkoszując się naprzód jej smakiem. Wiedząc na  
pewne, że ją zje, nie  
spieszył się wcale, tylko gdy się ku niemu zwróciła, rozśmiał  
się złośliwie:  
— Ha. ha, ha!... kózka pana Seguin! — i oblizał dużym  
czerwonym ozorem sine  
wargi.  
Blanquette uczuła, że jest zgubioną... Przez jedno mgnienie  
oka, wspomniawszy  
historię starej kozy Renaty, która walczyła całą noc, aby się  
dać pożreć nad  
ranem, mówiła sobie, że najlepiejby może było dać się od razu  
zjeść; lecz potem  
zmieniła zdanie i postanowiła się mieć na baczości.  
Nachyliwszy głowę,  
wystawiła naprzód rogi jak przystało dzielne

kozie pana Seguin, nic żeby miała nadzieję uśmiercić wilka —  
zabić wilka

przechodzi siłę kozy — lecz tylko w celu przekonania sio, czy  
też potrafi bronić  
się tak długo jak Renata...

W tej chwili potwór postąpił ku niej i mały różki puściły się w  
tan.

Ach! ta dzielna kózka!... Z jakim ferworem ona się do tego  
brała!... Więcej niż

dziesięć razy — nie myśl, że kłamię, Gringoire — zmusiła  
wilczurę, że się cofnął

dla nabrania oddechu... Podczas tych jednoninutowych  
zawiesznień broni chwyciła

mała łakotnisią łapczywie jeszcze jakieś jedno ździebełko  
ukochanej trawki,

poczem stawała na nowo do walki z pełnym pyszczkiem...

Trwało to całą noc. Od

czasu do czasu kózka pana Seguin spoglądała na gwiazdy,  
migocące na niebie, i

mówiła sobie:

— Ach! żebym tylko wytrzymała do świta U. Gwiazdy gasły  
jedna za drugą.

Blanquette

zdwoiła ilość uderzeń rogami, wilk podwoił natarcia zębatej  
paszczy... Na

widnokregu zjawiała się blada jasność!... Ochryple pianie  
koguta doleciało z

jakiegoś folwarku...

— Nareszcie — rzekło biedne zwierzę, które czekało tylko  
ranka, aby umrzeć, i

wyciągnęło się na ziemi w swym pięknym białym futerku,  
zbroczonym zupełnie

krwią...

"Wtenczas wilk rzucił się na kózkę i pożarł ją. Żegnam Cię,  
Gringoire.

Historya, którą ci opowiedziałem, nie mojej 'jest inwencji.  
Jeżeli kiedykolwiek  
odwiedzisz Prowancyę, będą ci tam ludzie nieraz opowiadać o  
koziole pana Seguin,  
która walczyła noc całą. z wilkiem a rano wilk ją zjadł.  
Rozumiesz — Gringoire?  
"A rano wilk ją zjadł."

## ARLEZYANKA.

Chcąc się dostać z mojego młyna do wsi, należy minąć  
domostwo, stojące obok  
drogi w głębi obszernego dziedzińca obsadzonego obrostnicą.  
Jest to typowy dom  
gospodarza wiejskiego w Prowancyi, z swemi czerwonymi  
dachami, swą szeroką,  
ciemną fasadą o nierówno rozmieszczonych oknach, w górze  
na pięterku spichrze,  
chorągiewka, winda do wyciągania worów i trochę,  
zwieszających się strzepów  
burego siana...  
Dlaczego mnie ten dom uderzył? Czemu widok jego  
zamkniętej bramy zcisnął mi  
serce?... Nie umiałbym na to w istocie odpowiedzieć — a  
przecież domostwo to,

kiedym na nie spojrział, przejęło mnie dreszczem. Zbyt wielka  
cisza zalegała  
dokoła niego... Ody się tamtędy przechodziło, pies nie  
zaszczekał a perlice  
uciekały bez krzyku... Ani jednego dźwięku z wewnątrz. Nic!  
nawet dzwonka  
mułów... Gdyby nic, białe firanki w oknach i nie dym,  
wznoszący się z komina,  
możnaby myśleć, że w budynku. żywa dusza nie mieszka.

Wracając wczoraj z wioski w samo południe, szedłem, aby  
uniknąć skwaru, popod  
sam mur farmy, cieniem obrostnie... Na drodze, przed  
zagrodą, parobcy kończyli w  
milczeniu siano ładować na wóz. Brama stała otworem.  
Rzuciłem okiem,  
przechodząc, i zobaczyłem w głębi podwórza rosnącego,  
siwiuteńkiego starca, jak  
siedział przy szerokim kamiennym stole, podparłszy się  
łokciami i głowę  
wsparłszy na rękach, odziany w trochę na niego krótką  
kamizolę i spodnie  
zupełnie podarte... Zatrzymałem się. Jeden z ludzi przemówił  
do mnie cicho:  
— Pst! to gospodarz... Od nieszczęścia syna ciągle taki...  
W tej chwili przeszła koło nas kobieta z małym  
chłopczykiem., obeje czarno  
odziani, z dużymi, złożonymi książkami do modlenia w rękę, i  
weszli w bramę  
farmy.  
Ten sam parobek dodał:

— A to gospodyni i najmłodszy synaczek, wracają z mszy.  
Dzień w dzień chodzą do  
kościółka, odkąd się chłopiec zabił... Ach! panie! co za  
nieszczęście!... Ojciec  
nosi ciągle jeszcze odzież umarłego i ani nisz nie chce się z  
nią rozstać..

Wista

szkapy..

Wóz zachwiał się i ruszył. Zapragnąwszy dosiedzieć się z ust  
woźnicy czegoś  
więcej, poprosiłem, aby mi pozwolił usiąść koło siebie tam, w  
górze. na sianie i  
oto, jak wysłuchałem całej tej bolesnej historii..,

Nazywał się Jan. Był to wspaniały parobczak lat -tu,  
obyczajny jak dziewczyna,  
rzetelny, z obliczem otwartem. Ponieważ był bardzo  
przystojny, kobiety zerkały  
nań; lecz jemu jedna tylko była w głowie — mała  
Arlezyaneczka, cała wystrojona w  
koronki i aksamit, którą raz spotkał na festynie w Arles... W  
domu rodziców  
patrzano zrazu na tę znajomość niechętnem okiem.  
Dziewczyna miała opinię  
kokietki, rodzice jej nie byli tutejsi. Lecz Jan zapragnął z całej  
duszy swojej  
Arlezyanki. Mówił:  
— Umrę, jeżeli mi jej nie dadzą.  
Trzeba się było z tem liczyć. To też postanowiono ich pożenić  
po ukończeniu  
żniw.

Pewnej niedzieli wieczorem na podwórzu zagrody rodzina gospodarzy siedziała właśnie u stołu po uroczystym obiedzie. Była to niemal uczta weselna. Narzeczona nie brała w niej udziału, wznoszono jednak raz po raz na jej cześć toasty. Wtem zjawia się u furty jakiś człowiek i drżącym głosem oświadcza, że chce się rozmówić z ojcem Esteve, z nim samym tylko. Estero powstał i wyszedł na drogę.

— Panie gospodarzu — odezwał się ów człowiek, — przyszedłem wam powiedzieć, że ta, z którą zamierzycie ożenić wasze dziecko, jest hultajką. Była moją kochanką przez dwa lata. Com rzekł — udowodnię: oto jej listy! Rodzice jej wiedzieli o wszystkim i przyrzekli mi ją, lecz odkąd się do niej syn wasz zaleca, ani ona, ani oni nie chcą

mnie już... Myślę jednak, że po tem wszystkim nie powinnyby zostać żoną innego...

— Dobrze! — odparł ojciec Esteve, przejrząwszy listy; — wejdźcie wychylić z nami szklanicę muszkatu. . Ów jednak odpowiedział:

— Dziękuję. Frasunek więcej mi dolega od pragnienia. I poszedł.

Ojciec powrócił do stołu jak gdyby nigdy nie, usiadł na swoim zwykłym miejscu i biesiada zakończyła się wesoło...

Tegoż samego wieczora stary Esteve z synem poszli razem w pola. Długo nie było ich; widać z powrotem; kiedy wrócili, matka czekała na nich jeszcze.

— Żono! — ozwał się gospodarz, przyprowadzając do niej syna — uściśnij naszego chłopca. Jest bardzo nieszczęśliwy.

Jan ani wspomniał więcej o Arlezyance, kochał ją jednak dalej pomimo tego.

Kochał ją nawet więcej niż kiedykolwiek, odkąd mu ją pokazano w ramionach innego. Był jednak za dumny, aby o tem mówić i to go też zabiło, biednego dzieciaka!... Niekiedy dzień cały przesiedział sam jeden, bez ruchu, wciśnięty w jakiś kąć. W inne dni brat się do roboty około zimni tak wściekle, że odrabiał sam jeden dzienną pracę dziesięciu zarobników...

Za nadejściem wieczora puszczał się w drogę do Arles i szedł prosto przed siebie, dopóki w blaskach zachodu nie ujrzał smukłych wieżyc miasta. Wtenczas powracał. Nigdy nie zapędził się dalej.

Widząc go ciągle takim, stroniącym od ludzi i smutnym, nie widzieli w domu, co począć. Poczęli się obawiać nieszczęścia... Raz, przy stole, rzekła doń matka z oczyma, pełnemi łez:

— Słuchajno, Janie, — jeżeli ją chcesz pomimo tego, damy ci ją...

Ojciec paşowy ze wstydu, skłonił głowę...  
Jan odpowiedział przeczącem poruszeniem i wyszedł...  
Od tego dnia zmienił zupełnie tryb życia, udając ciągle  
wesołego, aby uspokoić  
rodziców. Zaczął się pokazywać na tańcach, chodził do  
knajpki. Podczas wyborów w  
Fonvieille on prowadził farandolę. Ojciec zaopiniował:  
— Chłopiec jest. ocalony.  
Matkę jednak dręczyły wciąż obawy, czuwała nad dzieckiem  
więcej niż  
kiedykolwiek... Jan sypiał z najmłodszym braciszkiem tuż  
obok komory dla  
gąsienic jedwabniczych; otóż biedna staruszka kazała sobie  
ustawić łóżko w izbie  
sąsiadującej z sypialnią Jana.. Mogła być w nocy potrzebna...  
gąsienicom!  
Nadeszło święto patrona gospodarzy.  
W zagrodzie wielka radość.. Zastawiono dla wszystkich butle  
chateau-neuf i ile  
tylko kto chciał grzanego wina Potem nastąpiła strzelanina,  
ognie

sztuczne, kolorowi; latarki zasiały obrostnicę... Niech żyją  
solenizanci!...

Tańczono Jarandolę do upadłego. Najmłodszy synek opalił  
sobie nową bluzę. Nawet  
Jan miał minę zadowoloną; zapraszał matkę do tańca; biedne  
kobieciśko spłakało  
się z nadmiaru szczęścia.  
O północy poszło wszystko spać. Wszyscy poczęli niebawem  
chrapać... Jan jeden



nie spał. Mały braciszek opowiadał potem, że płakał przez całą noc... Nasłuchał on się też za to nasłuchał!...

Nazajutrz rano, o świcie, matka posłyszawszy nagle, że ktoś przebiegł przez jej izbę, jakby przeczuciem tknięta, odezwała się:

— Janie! czy to ty?...

Jan wszakże nie odpowiedział, już był na schodach. Prędko, co prędzej zerwała się matka z posłania.

— Dokąd ty idziesz, Janie?

Poszedł na górę, do spichrza, ona zanim.

— Synu!... na miłość boską!... Zamknął za sobą drzwi, zaparł je rygłem.

— Janie!... mój Janeczku!... odpowiedz mi. Co chcesz uczynić?

Po omacku szuka drżącymi rękoma klamki... Wtem okno się otwiera, słysząc łoskot

ciała, padającego na kamienie podwórza, i po wszystkim... Powiedział sobie biedne chłopczysko:

— Zanadto ją kocham, to i umrę.

Jakże nikczemne są serca nasze. Nie jest że to okropne, żeby pogarda nie była w stanie stłumić miłości?!

Tego ranka ludzie z wioski dopytywali się, kto też to mógł tak przeraźliwie

krzyczeć tam, w stronie domu Esteve'ów.

To matka, półnaga, rozpaczała w dziedzińcu nad kamiennym stołem, pełnym róż i

krwi, z zwłokami syna w ramionach.

## LATARNIA MORSKA W SANGUINAIRES.

Nie mogłem spać tej nocy. Mistral się wściekał a wybuchy jego ryku nie dały mi zasnąć do samego rana. Młyn cały trzeszczał, poruszając ciężko pokaleczonemi skrzydłami, na których wichry gwizdały niby wśród lin i żagli na okręcie. Z roztrzęsionego dachu zlatywały dachówki. W dali kołysały się z szumem wśród, mroku sosny, porastające gęsto pagórek. Zdawać się człowiekowi mogło, że jest na pełnem morzu... Przypomniały mi się me noce bezsenne lat temu trzy, kiedym zamieszkiwał latarnię morską w Sanguinaires na korsykańskim wybrzeżu u wstępu do zatoki Ajaccio. Pięknym zaiste był kącik, jaki tam znalazłem; jakby stworzony dla samotności i marzeń. Wyobraźcie sobie czerwonawą wyspę o dzikim wyglądzie; na jednym końcu wyspy latarnia, na

drugim stara wieża genueńska, w której za moich czasów orzeł się gnieździł. Na dole, tuż nad woda, ruiny lazaretu, zapuszczone zielskiem ze wszystkich stron, a

dalej parowy, zarośla, złomy skał, trochę dzikich kóz, małe korsykańskie koniki,  
uganiające się dokoła z grzywami powiewającymi na wietrze;  
nakoniec w górze, na  
samym szczycie, w wirującej chmurze morskiego ptactwa  
budynek latarni z swą  
pobielaną wapnem platformą, po której strażnicy przechadzali  
się wzdłuż i  
wszerz, drzwi zielone, mała wieżyczka z żelaza a nad nią  
wielka latarnia z swemi  
kryształowymi tafelkami, błyszczącymi w dzień nawet do  
słońca i w dzień nawet  
szerzącymi dokoła jasność! Na tę to zaczarowaną wyspę,  
zanim zostałem  
właścicielem młyna, siedłem się od czasu do czasu zamknąć,  
kiedym uczuwał  
potrzebę świeżego powietrza i samotności.  
Com tam robił?  
To, co i tutaj, a nawet mniej jeszcze. Jeżeli mistral lub wiatr  
północny nie  
dęły zbyt mocno, siedłem się usadowić między skały, tuż nad  
wodą, wśród stada  
mew, szpaków, jaskółek, i przesiadywałem tam tak nieraz dni  
całe w pewnego  
rodzaju strętwieniu i omdleniu rozkosznem, w jakie nas  
kontemplacja morza  
wprawiać zwykła. Musicie znać to czarowne upojenie  
duszy?... Przestaje się w  
niem myśleć, przestaje się nawet marzyć... Cała nasza istność  
wymyka się z nas,  
ulatuje, rozprasza się... Czujesz się mową, dającą w morze  
nurka, piana,

bielejącą w słońcu między dwiema falami, pióropuszem  
białego dymu, buchającego z  
komina odpływającego parowca, małym statkiem o  
czerwonym żaglu, co łowi korale,  
perełką wody, mgły strzępką, wszystkim! — tylko nie  
samym sobą!... Och! ileż  
przecudnych godzin półsnu, półnicości, spędziłem na mej  
wysepce!...

W dzień bardzo wietrzny, gdy pobyt na wybrzeża był  
niemożliwy, zamykałem się na  
dziedzińcu lazaretu, melancholijnym dziedzińcyku, zupełnie  
zarosłym przez dziki  
piołun i rozmaryn, i tam, skuliwszy się pod złomem starego  
muru, poddawałem się  
ogarniającej mnie łagodnie nieokreślonej woni opuszczenia i  
smutku,  
zapełniającej wraz z słońcem kamienne izdebki, otwarte na  
wsze strony jak stary  
grobowiec. Od czasu do czasu rozległ się trzask drzwi lub  
lekki podskok trawą  
poruszył... To koza przyszła żerować w miejscu, osłoniętem  
od wiatru. Na mój  
widok zatrzymywała się osłupiała, i stojąc tak naprzeciw mnie  
z pełną życia  
minką i wysoko sterczącymi rożkami, wbijała we mnie bystro  
swe oczy dziecięce...  
Okolo godziny piątej tuba strażnika wzywała mnie na obiad.  
Wracałem wówczas  
z wolna ku latami małą ścieżynką, spinającą się nad morzem  
prawie prostopadle

wśród gąszczu pnączów, oglądając się co krok na niezmierny  
widnokrąg wody i  
światła, który zdawał się podnosić wraz ze mną w miarę jak ja  
się wznosiłem.

Na córce było prześlicznie. Widzę jeszcze tę piękną salę  
jadalną o dużych  
kamiennych flizach,  
o boazeryach z dębiny, z misą, z której buchała para,  
pośrodku... Za drzwiami,  
szeroko rozwartymi na białą terasę, jaśniał zachód... Strażnicy  
znajdowali się  
na miejscu, czekając z obiadem na moje przybycie. Było ich  
trzech: jeden  
Marsylińczyk  
i dwóch Korsykańów, wszyscy trzej mali, brodaci, z twarzami  
jednako zczerniałymi  
na słońcu i wietrze, w jednakich opończach z koziej skóry, ale  
na punkcie  
zachowania się i humoru zupełnie między sobą różni.  
Już sam tryb życia tych trzech ludzi wykazywał dobitnie  
różnice dwóch ras.  
Marsylińczyk, przemyślny i żywy, zawsze zatrudniony, zawsze  
w ruchu, przebiegał  
wyspę od rana do wieczora, grzebiąc w ogródku, łowiąc ryby,  
zbierając ptasie  
jaja, zaszywając się w gąszcz, aby wydoić po drodze kczę, —  
wśród nieustannej  
troski o pożywienie.  
Korsykańów, po za służbą, nie obchodziło absolutnie nic;  
uważając się za

urzędników, po za godzinami w latarni spędzali dni całe w  
kuchni na rozgrywaniu  
nieskończonych partyj "scopa", które przerywali tylko dla  
zapalenia z poważną  
miną fajek lub rozdrabniania nożyczkami w dłoni dużych liści  
zielonego  
tytoniu...  
Zresztą Marsylijczyk i Korsykanie, wszyscy trzech dobrzy  
ludzie, naiwni, prości,  
uprzedzająco grzeczni dla swego gościa, pomimo że w gruncie  
rzeczy musiał się im  
wydawać dość osobliwą figurą...

Proszę tylko pomyśleć!... zamykać się dla przyjemności w  
latarni morskiej!... A  
im się tam dni jak dłużej i tak się czują szczęśliwi, gdy na  
którego przyjdzie  
kolej przepawić się na ląd... W pogodnej porze wielkie to  
'Szczęście spotyka  
każdego z nich co miesiąc. Dziesięć dni ziemi na trzydzieści  
dni latarni, taki  
regulamin; zimą jednakże i w ogóle w porze burzliwej  
regulamin przestaje  
obowiązywać. Wiatr dmie, fale się wspinają, wyspa bieleje od  
pian a strażnicy  
pozostają uwięzieni na swem stanowisku dwa albo trzy  
miesiące z rzędu często w  
warunkach straszliwych.  
— Oto, co mi się raz zdarzyło, proszę pana, — opowiedział  
mi dnia pewnego w

czasie obiadu, stary Bartoli — oto, co rai się wydarzyło przed pięcioma laty przy tym samym stole, przy którym siedzimy w tej chwili, pewnego wieczora jak dziś. Było nas wtenczas dwóch tylko przy latami, ja i mój towarzysz, którego zwano Tchèco... Reszta była na ziemi, chorzy, czy na urlopie, nie pamiętam już... Spożyliśmy obiad w zupełnym spokoju... Wtem mój towarzysz przestaje nagle jeść i utkwivszy we mnie na chwilę dziwne spojrzenie. — bęc! — pada na stół z wyciągniętymi przed siebie rękoma... Idę do niego, szarpie, wołam: — Tchèco! Tchèco!... Ani pisnął!... Umarł!... Wyobrazi pan sobie moje przerażenie!... Siedziałem dobrą godzinę drżący i ogłupiały przed trupem. Wtem przyszło mi na myśl:

— A latarnia?!... Miałem zaledwie czas pobiedz do latarni i zaświecić w niej. Na świecie była już noc... Co za noc, panie!... Morze, wicher — innym jakimś ryczały głosem... Co chwila zdawało mi się, że mnie ktoś z dołu, ze schodów woła... Prócz tego pragnienie, gorączka... Ale za żadne skarby świata nie byłbym na dół zeszedł, takiego miałem stracha przed nieboszczykiem!.. Pomimo to jednak, skoro zaczęło

dnieć, odzyskałem nieco odwagi... Zaniósłszy towarzysza na jego łóżko, okryłem  
zwłoki prześcieradłem, zmówiłem modlitwę a potem — nuże do sygnałów alarmowych.  
Nieszczęściem morze zanadto było wzburzone. Daremniem wzywał i wzywał, nikt nie przybył... I oto byłem sam jeden w latarni ?. mym biednym martwym Tchèco, Bogu  
jednemu wiadomo, na jak długi czas... Miałem z początku nadzieję, że zdołam go przy sobie przechować aż do przybicia do wyspy jakiego statku, — ale po upływie trzech dni nie można już było z ciałem wytrzymać... Co tu począć?... Wynieść go z domu?... Zakopać?... Skała za twarda a po wyspie wałęsa się tyle kruków!...  
Nie godziło się rzucać im na pastwę to ciało chrześcijańskie. Wtenczas przyszło mi na myśl umieścić go w jednej z izdebek dawnego la aretu... Całe popołudnie zajęła mi ta smutna praca, do której, przysięgam panu, potrzebowałem się zebrać na całą moją odwagę. Ba! muszę się

panu przyznać, że jeszcze dziś, kiedy przechodzę popołudniową godziną ku tej stronie wyspy, a zdarzy się, że właśnie wichur silny wieje, to zdaje mi się, że czuję, jak wtenczas, brzemień zwłok na ramionach... Poczciwy stary Bartoli!...  
Kroplisty pot. zrosił mu czoło na samą myśl o tem.



Na takich to gawędach zbiegały nam długie godziny: latarnia,  
morze, rozbicia,  
korsykańscy bandyci stanowiły ich wątek... Po pewnym  
czasie, z nastaniem zmroku,  
strażnik pierwszej ćwierci zapalał swoją lampkę, brał fajko,  
butlę, grubego  
Plutarcha z czerwono napuszczonymi brzegami (całą  
bibliotekę wyspy Sanguinaires)  
i znikał w głębi. Po chwilce w całym gmachu latarni rozlegał  
się zgrzyt  
łańcuchów, bloków i wag: naciągano zegary.  
Wychodziłem w czasie tego na dwór, usiąść na terasie.  
Słońce, bardzo nisko już,  
opadało coraz szybciej ku wodzie, pociągając za sobą cały  
horyzont; wiatr się  
oziębiał, wyspa przybrała fioletową barwę. Po niebie, niedaleko  
odemnie, płynął  
ociężałe jakiś wielki ptak; orzeł, zamieszkujący genueńską  
wieżę, w powrocie do  
gniazda... Mgła poczyniała się zwolna z morza podnosić...  
Wkrótce potem nie było  
już nic widać oprócz białego rąbka pian dokoła brzegów  
wyspy... Wtem, nad moją  
głową, trysnął potężny strumień łagodnego blasku... Latarnia  
została zapaloną.  
Pozostawiając całą wyspę w cieniu, jasne promienie trafiały  
dopiero na peł-

nem morzu w wodę, ja zaś siedziałem, przepadły w mrokach  
nocy, pod tą ulewą

jasności, co ledwie mnie muskała w przelocie... Wiatr stał się  
tymczasem jeszcze  
zimniejszy. Trzeba było wracać. Zawarłem po omacku wielkie  
drzwi, zasuwając  
żelazne rygle, poczem kierując się ciągle dotykiem, szedłem  
po małych, żelaznych  
schodkach, które trzęsły się i piszczały pod memi kroki, na  
szczyt latarni. Tam  
dopiero — co za ogrom światła!...  
Wystawcie sobie olbrzymią lampę carcewską o sześciu  
rzędach knotów, dokoła  
których ściany latarni obracają się zwolna, jedne zaopatrzone  
w potężne  
soczewki, inne składające się z mocnych szyb i osłaniające  
płomień przed  
wichrem...  
Wszedłszy, zostałem olśniony. Mosiądz, cyna, posrebrzane  
reflektory, wypukłe  
tafle szkła, zakreślające wśród obrotu duże błękitnawe, koła,  
wszystkie te  
oślepiające refleksy i całe to migotanie światła przyprawiło  
mnie w pierwszej  
chwili o zawrót głowy.  
Stopniowo jednak oczy moje oswoiły się z blaskiem,  
poszedłem nawet usiąść tuż  
pod lampą, u boku strażnika, który odczytywał głośno  
Plutarcha, aby nie  
zasnąć...  
Na dworze mrok! otchłań!... Na małym ganku, biegnącym  
dokoła oszklenia, wicher  
dmie jak szalony, świszcząc. Latarnia trzeszczy, morze wyje.  
Na krańcu wyspy, na

skałach sterczących z morza, bałwany rozbijają się z hukiem  
działowych strza-

łów... Czasem niewidzialny palec zapuka w szybę; to jakiś  
ptak nocny, zwabiony  
światłem, rozbił sobie głowę o twardy kryształ.  
W rozgrzanej, roziskrzanej latarni nic oprócz trzaskania  
płomieni, szelestu  
kapiącej oliwy, zgrzytu opadającego łańcucha i oprócz  
monotonnego głosu,  
recytującego jak psalmy żywot Demetriusa z Faleru...

O północy strażnik powstał, rzucił okiem po raz ostatni na  
swoje knoty i  
zeszliśmy na dół. Na schodach minął się z nami kolega z  
drugiej ćwierci,  
przecierający sobie oczy po drodze na górę... Objął z kolei  
flaszę, Plutarcha...  
Poczem przed udaniem się do łóżka, poszliśmy na chwilę do  
izby w głębi,  
zawalonej gratami, pełnej łańcuchów, ogromnych ciężarów,  
cynowych rezerwoarów,  
lin, i tu przy blasku małej lampki strażnik zapisał w wielkiej,  
zawsze otwartej  
księdze latarni:  
"Północ. Morze niespokojne. Burza. Na pełnym morzu okręt. "

STARUSZKOWIE.

— Jest list, ojcie Azan?

— Jest, proszę pana... z Paryża...

Pocziwy ojciec Azan pysznił się ogromnie tym listem z Paryża... ja mniej. Coś mi szepnęło na sam już widok koperty, że ta Paryżanka z ulicy Jana Jakóba, spadająca mi na stół tak wcześnie

i całkiem niespodziewana, zepsuje mi dzień cały. I nie pomyliłem się.

Posłuchajcie:

"Musisz mi oddać koniecznie jedną wielką przysługę, mój przyjacielu. Zamknij swój młyn na jeden dzień i wybierz się zaraz rano do Eygnières... Eygnières — to spore miasteczko o trzy albo cztery mile od ciebie — przechadzka. Przybywszy tam — zapytaj o klasztor z zakładem dla sierót. Pierwszym budynkiem po za klasztorem jest niski domek z szaremi okienicarni i ogródkiem na tyłach. Wejdź bez.

dzwonienia — gdyż stoi zawsze otworem, a wszedłszy, krzyknij, tylko głośno: —

"Dzień dobry, zacni ludzie! Jestem przyjaciel Maurycego... "

Wówczas zobaczysz przed sobą parę staruszków starych, jak świat!... którzy wyciągną do ciebie z głębi swoich ogromnych foteli ręce, a ty im je odemnie z całego serca ucałujesz, jakby byli twoi. Potem zaczniecie gawędzić: będą ci mówić o mnie, o niczem

innem, tylko o mnie; będą ci opowiadać tysiące szaleństw,  
których masz słuchać  
bez żadnych śmiechów... Nie będziesz się śmiał, prawda?... To  
moi dziadkowie,  
dwie istoty, których jestem życiem całym a które mnie nie  
widziały od lat  
dziesięciu... Dziesięć lat!.. Kawał czasu!... Ale cóż chcesz,  
mnie Paryż nie  
chce puścić a oni są tacy starzy, że gdyby się wybrali do mnie  
w odwiedzin,   
potłukliby się oboje w drodze, jak bardzo stara i krucha  
porcelana.. Ale na  
szczęście ty tam jesteś, kochany młynarzu! a moi  
staruszkowie, całując ciebie,  
będą mieli pewne

złudzenie, jakby mnie całowali... Tyle razy im przecie  
opowiadałem o nas obu, o  
prawdziwej przyjaźni jaka nas... "  
Bodajże licho tę przyjaźń!... Jak raz, pogoda była tego ranka  
prześliczna, nie  
na to jednak, aby ją przepędzać na włóczenia się po  
gościńcach... Za wiele  
mistrala i za wiele słońca; prawdziwie prowansalski dzień.  
Kiedy ten przekłety  
list nadszedł, miałem już upatrzony w myśli kącik między  
dwoma skałami i  
marzyłem o tem, że tam przepędzę dzień cały jak jaszczórka,  
pojąc się słońcem i  
wsłuchując w szum sosen... Ale co było robić?... Zamknąłem  
młyn, klnąc, wsunąłem

klucz pod próg — kij w rękę, jajka do kieszeni i dalej w drogę.  
Stanałem w Eygnières około godziny drugiej. W miasteczku  
pustki — kto żyw,  
wyszedł w pola. Wśród wiązów nad rzeczką koniki polne  
grały, aż się rozlegało...  
Na placu przed merostwem wygrzewał się na słońcu osioł a  
stadko gołębi dreptało  
po studni przed kościołem, nie było wszakże nikogo, ktoby mi  
mógł pokazać  
klasztor z przytułkiem dla sierót. Przypadek zrządził, że  
sposzregłem starą  
babinę, która przykucnąwszy na progu swych drzwi, przędła.  
Zbliżyłem się, aby  
jej powiedzieć, o co mi idzie, i wówczas to pokazało się, że to  
była potężna  
wróżka, dość bowiem było, aby podniosła wrzeciono a w tejże  
chwili sierocy  
klasztor wyrósł przedemną jakby z pod ziemi. Był to gmach  
wielki, czarny,  
posepny, pyszniący się dumnie krzyżem

czerwonego piaskowca, umieszczonym na szczycie portalu, na  
którym biegł w krąg  
łaciński napis. Obok tego budynku spostrzegłem drugi,  
maleńki. Szare okienice,  
ogródek po za nim... Poznawszy go na pierwszy rzut oka,  
wkroczyłem bez  
dzwonienia. Do końca życia zachowam w pamięci ten  
chłodny, zaciszny korytarzyk z  
ścianami malowanymi na różowo, w głębi tegoż migocący  
złocistą zielenią z po za

jasnych żaluzji ogródek: w kwaterach ścian wyblakłe kwiaty i skrzypce. Miałem  
wrażenie, że przyszedłem z wizytą do domu jakiegoś  
starowiny urzędnika dawnej  
daty... Na końcu korytarza, po lewej, przez drzwi wpółotwarte  
słysząc było tik-  
tak wielkiego zegaru i głos dziecka, dziecka uczącego się  
lekcyi, które czytało  
z przerwami po każdej zgłosce:  
— Na-ten-czas świę-ty I-re-ne-usz za-wo-łał: Jam jest psze-ni-  
cą Pan-ską, mają  
mnie ze-mleć zę-by tych zwie-rząt.  
Zbliżyłem się delikatnie do drzwi i zajrzałem.  
W półcieniu i ciszy małego pokoiku poczciwy staruszek z  
rumianemi licami,  
pomarszczony jak suszona gruszka, spał w głębi fotelu z  
otwartymi ustami, z rękoma  
spoczywającymi na kolanach. U nóg jego mała dziewczynka  
w niebieskiej sukience z  
peleryną, na głowie mały czepeczek, co wszystko razem  
składało mundurek  
klasztornej sierotki, — czytała żywot świętego Ireneusza z  
większej niż ona sama  
księgi. Lektura ta wywierała doraźny

wpływ na dom cały. Staruszek spał w fotelu, muchy na  
suficie, kanarki u okna, w  
swojej klatce. Duży zegar gdał jakby przez sen: tik-tak! tik-  
tak! W całym  
pokoju jedyną rzeczą żywą była szeroka struga światła,  
tryskająca białym,

prostym słupem, skośnie, z pomiędzy przymkniętych okienic i rojąca się od małych iskierek, które tańczyły w powietrzu z werwą mikroskopijnego walczyka... Wśród ogólnej ciszy dziewczynka nie przestawała z poważną minką czytać.

— I o-to dwa lwy o-kru-tne rzu-ci-ły się na świę-te-go i po-żar-ły go.

W tej właśnie chwili wszedłem. Lwy św. Ireneusza, ukazawszy się osobiście, zamiast mnie, w pokoju, nie zdołałyby zaiste wyrzucić bardziej wstrząsającego wrażenia. Iście teatralny efekt... Mała wydaje okrzyk — olbrzymia księga spada — kanarki i muchy przebudzają się — zegar dzwoni — staruszek się zrywa, cały przerażony, ja zaś zmieszany trochę, zatrzymuję się na progu, krzycząc jak najgłośniej:  
— Dzień dobry, zacni ludzie, jestem przyjaciel Maurycego... Ach! gdybyście w tej chwili mogli byli widzieć staruszkę!... Gdybyście byli widzieli, jak spieszył z wyciągniętymi rękoma ucałować mnie, uścisnąć rui ręce, jak dreptał oszołomiony po pokoju, powtarzając:  
— Boże mój!... Boże!...

Wszystkie zmarszczki na jego sędziwej twarzy śmiały się. Zaczerwieniony bełkotał:



— Ach! panie!... panie!... — aż w końcu zwróciłem się ku drzwiom w głębi i zawołał:

— Mametto!...

Drzwi się otwarły, w sionce dał się słyszeć drobny kroczek...

Była to Mametta.

Nic śliczniejszego od tej maleńkiej staruszki w wysokim czepeczku, w sukni

zakonnicy, z haftowaną w ręce chusteczką, którą podług przepisu starej mody

wzięła, w celu uczczenia gościa... Wzruszający szczegół: byli do siebie podobni

jak brat i siostra. Przywdziawszy jej suknię i czepiec, mógłby się śmiało

przedstawić za Mamettę. Tylko że prawdziwa Mametta musiała w życiu niemało łez

wypłakać, bo jeszcze więcej zmarszczek było na jej pocziwej twarzy. Tak samo

jak mąż miała przy sobie także dziewczątko z przytułku sierót, małą, nieodstępną

towarzyszkę w niebieskiej pelerynce a widok tych dwojga starców pod opieką pary

małych sierotek miał w sobie coś dziwnie wzruszającego.

Wszedłszy, Mametta powitała mnie na wstępie uroczystym dygiem ale stary przeciął

jej w połowie to misterne dygnięcie, oznajmiając:

— Przyjaciół Maurycyego...

Jak nie zaczęła się trząść, jak nie wybuchnęła płaczem!... upuściła chusteczkę,

zaczerwieniła się, ach! jak się zaczerwieniła!... jeszcze mocniej od niego... Ci

staruszkowie!... Kropelkę to krwi zale-

dwie ma w żyłach, a za najmniejszym wzruszeniem wszystka im zbiega do twarzy...

— Prędko, prędko, krzesła — poczęła staruszka nagiąć jedną z dziewczynek.

— Otwórz okienice... — wołał dziaduś do swojej i uchwyciwszy mnie, on za jedną rękę, ona za drugą, prowadzą mnie, drepcąc, pod samo okno, które otwarli na oścież, by mi się lepiej przypatrzeć... Przysunęli fotele, siadam między obojgiem na składanem krześle, małe bławatki za nami, i poczyną się przesłuchanie:

— Jakże on się tam ma?... Co robi?... Dlaczego nie przyjedzie?... Czy zadowolony?...

I: tyr tyr tyr!... tyr tyr tyr!... przez kilka godzin z rzędu. Zaspakajałem jak mogłem ich ciekawość, opowiadając u mym przyjacielu ilem wiedział, wymyślając z całą beczelnością, co mi się wydawało prawdopodobnem, strzegąc się nadewszystko w świecie zdradzić, że nie zauważyłem nigdy, czy się u niego okna szczelnie zamykają i jakiego koloru tapety ma w swoim pokoju.

— Tapety w pokoju Maurycego?... Niebieskie proszę pani... Jasno niebieskie, w girlandy...

— Doprawdy!... — wykrzyknęła biedna starowina nadzwyczaj rozrzewniona i dorzuciła, zwracając się do męża: — Jakie tu pocziwe dziecko!...

— Och! on był zawsze poczciwym dzieckiem! — potwierdził  
dziadzio z zapalem;  
przez cały

czas zaś, kiedy im o nim mówiłem, to kiwali do siebie  
głowami, to uśmiechali się  
subtelnie, mrugali oczyma, albo też stary przysuwał się do  
mnie, aby szepnąć:

— Proszę, mów pan głośniej... Moja starowinka  
ma trochę przytępiony słuch...

A ona znów ze swej strony:

— Troszeczkę głośniej, jeżeli łaska; mój dziaduś cokolwiek  
niedosłyszy...

Podnosiłem wtedy głos a oni dziękowali mi oboje uśmiechem,  
bladym uśmiechem

swoich zwiędłych twarzy, które nachylone ku mnie, jakby dla  
wypatrzenia na samem

dnie mych oczu odbicia ich Maurycego, pozwalały mi  
odnajdywać w nich nawzajem

zatarły, niewyraźny, prawie że nieuchwytny jego obraz, jak  
gdybym widział mego

przyjaciela uśmiechającego się do mnie z daleka, z bardzo  
daleka, przez mgłę...

Wtem staruszek podniósł się z fotelu:

— Ależ Mametto... on może jeszcze nie śniadał!... A  
Mametta, ze zgrozą wznosząc  
ręce:

— Nie śniadał!... Boże wielki!!...

Myśląc, że mowa ciągle jeszcze o Maurycem, miałem  
zauważyć, że ten poczciwy

dzieciak nie miał nigdy zwyczaju siadać do stołu wcześniej,  
niżeli w południe.

Lecz nie, troskliwość ich istotnie odnosiła się do mnie, no i  
trzeba było  
widzieć to

zamieszanie jakie powstało, skorom się przyznał, że  
rzeczywiście jestem jeszcze  
na czczo.

— Prędko!... Nakrycie!... Bławatki!... Stolik na środek pokoju,  
święteczny  
obrus, talerze w kwiatki!... I nie śmiać się tak wiele, jeżeli  
łaska!...

Prędzej! prędzej!...

Nie można im było zarzucić, aby się niedość spieszyły.

Ledwie upłynęło tyle  
czasu, ile potrzeba na stłuczenie trzech talerzy — już  
śniadanie było na stole.

— Nienajgorsze śniadanko — oświadczył mi Maurycy,  
prowadząc mnie do stołu, —  
tylko musisz je pan sam spożyć, bo myśmy już śniadali z  
samego rana...

Biedni starzy!... O którejkolwiek godzinie byś ich zaskoczył,  
zawsze już  
śniadali, zaraz rano.

Nienajgorsze śniadanko Mametty składało się z dwóch  
naparsteczków mleka, daktyl  
i jednej parquette'y, to znaczy pewnego rodzaju ciasta —  
prowianty, którychby  
wystarczyło na dni ośm dla niej i dla jej kanarków. A ja sam  
jeden zmiotłem to

wszystko do okruszyny!... To też co za indignacja dokoła stołu!... Jak małe bławatki chichotały, trącąc się pokryjomu łokciami — a miny kanarków w klatce to już mówiły wprost — "Och! ten pan, co zjadł całą parquett'ę!.. "

Zjadłem ją w rzeczy samej całuteńką sam nie wiem jak i kiedy, rozglądając się z zajęciem dokoła po tym pokoju jasnym i cichym, w którym jakby

się unosiła woń rzeczy niedzisiejszych... Znajdowały się tam przedewszystkiem dwa łóżeczka, od których oczu nie byłem w stanie oderwać. Łóżka te, kołyski dwie prawie, wyobrażałem sobie rankiem, kiedy je jeszcze przysłaniają firanki... Bije godzina trzecia. Jestto godzina przebudzenia wszystkich starców.

— Mametto, śpisz?

— Nie, mój kochanku.

— Prawda, że ten Maurycy, to pocziwe dziecko?

— O tak!... Pocziwe dziecko.

W ten sposób odtwarzałem sobie w wyobraźni całą obojga rozmowę na sam widok ich

dwu łóżeczek, stojących jedno obok drugiego.

Przez ten czas, na drugim końcu pokoju, koło szaty, począł się rozgrywać

strasliwy dramat... Szło o to, aby osiągnąć wysoko, na najwyższej . półce

umieszczonego słoika z wiśniami na spirytusie, który,  
oczekując na Maurycego od  
lat dziesięciu, na moją cześć miał być otwarty. Pomimo błagań  
Mametty stary  
uparł się sam pójść poszukać wiśni i wlaźszy na krzesło ku  
największemu  
przerażeniu małżonki, próbował dostać się na górę... Widzicie  
ten obraz:  
staruszek — trzęsie się, ale się naciąga, małe bławatki  
trzymają pod nim  
kurczowo krzesło, Mamecie aż dech zapiera, wyciąga za jego  
plecy ma rozpaczliwie  
ręce — nad wszystkim zaś lekki zapach bergamotek, którym  
tchnie wewnątrz  
otwartej szafy i duże stosy bielizny... Coś ślicznego!...

Nakoniec, po wielu wysiłkach, udało się z szafy wydostać ów  
sławny słoik, wraz z  
nim zaś stary, srebrny kubek, cały pogięty, z dziecięcych  
czasów Maurycego.  
Napełniono. mi go wiśniami po samebrzegi; Maurycy tak lubi  
wiśnie!... "Robota  
mojej żony!... Pyszności!... Zobaczysz pan!"  
Niestety!... zapomniała je ocukrzyć biedaczka! Cóż chcecie?...  
człowiek staje  
się roztargnionym na starość. To też naprawdę... okropne były  
te pani wiśnie,  
biedna. Mamatto... Nie przeszkodziło to jednak wcale, że  
zmiotłem wszystkie co  
do jednej, ani nie zmrużywszy oczu.

Po skończonej uczcie podaiosłem się od stołu, aby pożegnać gospodarzy. Radzi byli oboje zatrzymać mnie jeszcze, aby dłużej pogadać o tyra poczciwym, kochanym dzieciaku, lecz dzień miał się ku schyłkowi, do młyna daleko, trzeba było iść.

Staruszek, podnosząc się razem ze mną, rzekł:

— Mametto!... mój surdut!... odprowadzę go aż na plac...

Pomimo że Mametta w głębi duszy była z pewnością zdania, że na odprowadzanie

mnie aż na plac jest już nieco za chłodno, nie zdradziła tego jednak niczem.

Pomagając mu tylko wdziać rękawy surduta, pięknego tabaczkowego surduta z

gazikami z perłowej masy, szepnęła mu starowina do ucha cichutko:

— Ale niedługo wrócisz, prawda?...

Na co on odpowiedział z złośliwą minką:

— He! he!... Nie wiem jeszcze... Być może...

Spojrzeli na siebie i rozśmiali się, małe bławatki rozśmiały się także, widząc

staruszków uśmiechniętych, a za ich przykładem poczęły i kanarki w klatce

chichotać na swój sposób... Między nami mówiąc, zdaje mi się, że to zapach wiśni

upoił wszystkich potroszę...

... Noc zapadała, kiedyśmy wychodzili, dziadzio i ja.

Dziewczątka w niebieskiej

pelerynce biegło za nami w oddaleniu, aby staruszkowi towarzyszyć z powrotem,

skoro się rozstaniemy. Nie widząc jej jednak, kroczył pod rękę  
ze mną dumnie,  
jak mężczyźna. Mametta, patrząc na to z proga domu  
rozpromienionym wzrokiem,  
kiwała głową, jakby chciała powiedzieć:  
— No, no, moje biedne mężysko.... Jak on się dobrze jeszcze  
na nogach trzyma...

## ŚMIERĆ DELFINA.

Mały Delfin jest chory, mały Delfin umiera... Po wszystkich  
kościółach całego  
królestwa wystawiony jest dzień i noc Przenajświętszy  
Sakrament i dwie świece  
płoną bez ustanku na intencję wyzdrowienia królewskiej  
dzieciny. Na ulicach  
starej rezydencji smutno i cicho, dzwony przestały dzwonic,  
karety jeżdżą kroi  
za krokiem... U pałacowych wejść cisną się ciekawe  
mieszczuchy, zaglądając

poprzez sztachety na opasłych szwajcarów, błyszczących od  
złota, którzy  
rozprawiają na dziedzińcu z ważnemi minami.  
Cały zamek w ruchu... szambelani, majordomowie, wchodzą i  
wychodzą, przebiegając  
nieustannie marmurowe schody... Galerye pałacowe roją się  
od paziów i dworzan,  
wystrojonych w jedwabie, którzy przesuwając się od grupy do  
grupy, rozpytuja o



nowiny zciszonym głosem... Na szerokich schodach zapłakane  
damy honorowe oddają  
jedna drugiej czołobitne ukłony, ocierając oczy pięknymi  
koronkowemi  
chusteczkami.

W cieplarni zebrało się liczne konsylium lekarskie w  
urzędowych szatach. Widać  
przez szyby, jak giestykują żywo rękoma w szerokich,  
czarnych rękawach i z  
doktorską pompą potrząsają białemi lokami poruk... Guwerner  
i koniuszy małego

Delfina przechadzają się pod drzwiami tam i nazad, czekając  
na orzeczenie

fakultetu. Kuchciki przebiegają koło obudwu bez  
pozdrowienia. Jegomość pan  
koniuszy klnie jak poganin, jegomość pan guwerner recytuje  
wiersze Horacego...

Tymczasem od strony stajen słyhać przeciągłe, żalosna  
rzenie... To kasztanek

Delfina, zapomniany przez stajennych, skarży się smutno na  
swoją pustą żłób...

A król?... Gdzie jest jego królewska mość?...

Król jegomość zamknął się sam jeden w ustronnej komnacie  
w najdalszem skrzydle

zaniku... Królowie nie lubią, aby widziano ich łzy!... Królowa  
— co

innego. Siedząc u wezłowia Delfina kapie swe cudna lica w  
łzach i głośno, w  
obecności wszystkich szłocha, jak żona pierwszego lepszego  
sukiennika. W

koronkowym łóžeczku, bielszy od swej śnieżystej pościeli,  
spoczywa Delfia z  
zamkniętymi oczyma. Wszyscy myślą, że śpi... Bynajmniej!...  
Nie śpi Delfin  
mały... Oto posłyszawszy płacz matki, obrócił do niej główkę i  
rzecze:

— Najjaśniejsza pani!... Czemu płaczecie?... Myślicież i wy,  
jak inni, że ja  
umrę?..

Królowa pragnie coś odpowiedzieć, łkania nie dają jej słowa  
wyrzec.

— Nie płaczcie, nie, najjaśniejsza pani. Zapominacie, że  
jestem Delfinem i że

Delfin nie może umrzeć tak ni stąd ni zowąd...

Królowa zanosi się jeszcze rzewniejszym płaczem i mały  
Delfin poczyna się bać.

— Hola! — rzecze. — Nie życzę sobie, ażeby śmierć  
przychodziła po mnie, i  
potrafię temu zapobiedz, aby się dostała tutaj. Niech tu  
natychmiast przyjdzie  
czterdziestu najmocniejszych landsknechtów, będą u mego  
łóża pełnić straż!...

Sto wielkich armat o zapalonych lontach ma czuwać pod  
memi oknami dzień i

noc!... Biada śmierci, jeżeli się poważy zbliżyć do nas!...

Aby sprawić przyjemność królewskiej dziecinie, królowa  
skinęła ręką. Wnet turkot

wielkich dział rozległ się na dziedzińcu i czterdziestu rosłych  
landsknechtów z

halabardami w garści stanęło

dokoła komnaty w rząd. Same stare wiarusy z szpakowatomi wąsami. Mały Delfin aż klasnął w ręce z uciechy na ich widok. Poznawszy jednego, woła:

— Lotaryńczyku! Lotaryńczyku! Wiarus występuje z szeregu jeden krok.

— Lubię cię, mój stary Lotaryńczyku... Pokaż rai na chwilę tę twoją ogromną szablę... Jeżeliby mnie śmierć przyszła zabierać, masz ją zabić, — wiesz o tem?...

Lotaryńczyk odpowiedział:

— Wiem, wasza królewska mość...

I dwie łzy duże staczają się po jego ogorzałym żołnierskim obliczu.

W tej chwili spowiednik zbliża się do małego Delfina i pokazując mu krucyfiks, szepce dość długo. Mały Delfin słucha słów kapłana z miną mocno zdziwioną, naraz przerywa mu:

— Rozumiem wszystko, co mi chcecie powiedzieć, księżę opacie... ale czyby tak mój maleńki przyjaciel Beppo nie mógł umrzeć w mojem zastępstwie, gdyby mu się za to dało dużo pieniędzy?...

Spowiednik mówi dalej zciszonym głosem a minka małego Delfina poczyna wyrażać coraz to większe zdziwienie.

Aż kiedy spowiednik skończył, mały Delfin odpowiada z ciężkim westchnieniem:

— Wszystko, coście rai powiedzieli, księżę opacie, jest bardzo smutne... To

jedno mnie tylko pociesza, że tam, w górze, w niebiesiech,  
pozostanę

nadal Delfinem... Wiem przecie, że Pan Bóg Miłosiwy jest  
moim kuzynem i że mnie

nie omieszka traktować stosownie do mojej rangi...

Poczem, zwróciwszy się do matki, dorzuca:

— Niech mi przyniosą moją najpiękniejsze  
sukienki, mój biały gronostajowy płaszczyk i aksamitne  
buciki... Chcę być dla

aniołków grzeczny i wejść do raju w szatach Delfina...

Po raz trzeci nachyla się spowiednik do małego Delfina i  
szepce doń długo. W

połowie jednak jego przemowy królewskie chłopię przerywa  
mu gniewnie:

— Ależ to w takim razie być Delfinem, nic a nic nie znaczy!...

Nie chcąc nic więcej słyszeć, mały Delfin odwraca się do  
ściany i gorzkim

wybuchu płaczem.

## PAN PODPREFEKT NA WSI.

Pan podprefekt znajduje się właśnie, na objazdach." Z  
woźnicą na koźle, z

lokajami z tyłu, kolasa podprefektury wiezie go

majestatycznie na konkurs

rolniczy w Coinbes-aus-Fées. Na wiekopomny ton dzień

przywdział pan podprefekt

swój haftowany frak, swój mały kłaczek, obciste spodnie z  
srebrnymi wypustkami i

galową szpadę z rękojeścią z perłowej masy... na kolanach zaś jego spoczywa duża teka z wyciskanego szagrynu, na którą oczy podprefekta spoglądają smutnie.

Pan podprefekt spoziera smutnie na szagrynową tekę z wyciskami, ponieważ ma na pamięci obowiązek wygłoszenia niebawem słynnej mowy przed mieszkańcami Combes-aux-Fées z okazji konkursu rolniczego...

— "Czcigodni panowie! Szanowna ludności okręgu Combes-aux-Fées..."

Napróżno jednak znęca się nad złocistym jedwabiem swych faworytów i powtarza dwadzieścia razy z rzędu:

— "Czcigodni panowie!... Szanowna ludności..." — dalszy ciąg przemówienia ani rusz nie chce mu przeleźć przez gardło..

Dalszy ciąg mowy nie chce mu przeleźć przez gardło... W karcie takie gorąco!...

Jak sięgniesz okiem, droga do Combes-aux-Fées ginie w tumanach kurzu, smagana ulewą południowego słońca.. Powietrze żarzy się formalnie, a na przydrożnych wiązach, białych od pyłu, tysiące koników polnych odpowiadają sobie wzajemnie..

Wtem pan podprefekt zadrzał.. Tam, niżej, u podnóża pagórka, spostrzegł mały dębowy lasek, cały w zieleni, który zdaje się go przyzywać. Dębowy lasek, w zieleni, zdaje się go przyzywać, wołając:

— Chodź-no pan tutaj, panie podprefekcie... Tu panu będzie daleko łatwiej skomponować swoje przemówienie... Pan podprefekt dał się namówić, Wyskoczył

z kolasy, kazał zaczekać służbie, aż sobie ułoży mowę w zielonym dębowym lasku... W zielonym lasku dębowym są ptaszki, są fiołki, są w trawce mięciuchnej źródelka... Ujrzawszy pana podprefekta w jego ślicznych spodniach i z taką ozdobną teką z wyciskanego szagrynu, ptactwo przelekło się i przestało śpiewać, źródła nie śmiały szemrać dalej a fiołki pochowały się w trawie... Cały ten mały światek nie widział w życiu swoim podprefekta i począł się przyciszonym głosem dopytywać, kim jest ten piękny jegomość, co się wśród nich przechadza w srebrnych spodniach... Szeptem, pod liśćmi, biegnie wokół pytanie, kto jest jegomość w tych spodniach srebrzystych... Tymczasem pan podprefekt, oczarowany ciszą i chłodem lasu, podnosi poły fraka, kładzie na trawie kapelusz i sadowi się na mchu u stóp młodego dębu. Następnie, rozpostarłszy przed sobą na kolanach swoją wielką tekę z wyciskanego szagrynu, dobywa z niej arkusz ministeryalnego papieru.

— To artysta! — rzecze piegża...  
— Sie! — zaprzecza jej gil — to nie jest artysta, bo ma srebrne spodnie; prędzej książę...  
"Prędzej książę" — powiedział gil.  
— Ani artysta, ani książę — wtrąca się stary słowik, co śpiewał przez cały jeden sezon w ogrodach podprefektury.  
— Ja jeden wiem, kto to jest!... To podprefekt! I cały lasek zaszemrał:

— To podprefekt!... To podprefekt!...  
— Jakież on łysy! — zauważył czubaty skowronek.  
Fiołki zapytują w też pędy:  
— Czy to kasa?...  
"Czy to kasa?" — pytają fiołeczki. A stary słowik na to:  
— Cóż znowu!  
Po takim zapewnieniu ptaszki poczynają na nowo śpiewać, źródelka płynąć, fiołki pachnąć, jak gdyby jegomości pana prefekta wcale nie było wśród nich...  
Podprefekt wszakże, nieczuły na tę czarowną wrzawę, przyzywa w głębi serca mużę komisij rolniczych konkursów i wznosząc w górę ołówek, poczyną deklamować ceremonialnym tonem:  
— "Czcigodni panowie! Szanowna ludności okręgu Combes-aux-Fées!..."  
Czcigodni panowie! Szanowna ludności" — wygłasza ceremonialnie podprefekt...

Przerywa mu parsknięcie śmiechem... Obraca się, nie widzi jednak przed sobą nic więcej prócz zielonego dzięcioła, który usiadłszy sobie na wierzchu jego klaka, spoziera nań z śmiechem. Wzruszywszy ramionami, zabiera się podprefekt do dalszego ciągu oracyi, lecz dzięcioł przerywa mu zdala raz jeszcze okrzykiem:  
— Po co to?  
— Jaktó: po co?... — odrzeczł podprefekt, czerwieniąc się, i odpędziwszy bezczelne ptaszysko, ponawia:

— "Czcigodni panowie ! Szanowna ludności... "  
"Czcigodni panowie! Szanowna ludności" poczyna na nowo podprefekt... W tej samej chwili podniosły się na swych łodyżkach fiołeczki i przemówiły doń łagodnie:  
— Panie podprefekcie, powąchaj pan nas, jak my pachniemy!... Źródełka uczyniły pod mchem niebiańską muzykę a pośród gałęzi, nad jego głową, gromady piegż zleciały się śpiewać mu najpiękniejsze swe arye, cały las jak gdyby uknuł spisek w tym celu, aby nie dać ułożyć, konkursowej oracyi.  
Cały las spiskował przeciw konkursowej oracyi... Pan podprefekt, odurzony woniami, pijany muzyką, daremnie usiłuje oprzeć się tylu pokusom... Ułożywszy



się na trawie, rozpina swój piękny frak, bełkoce jeszcze dwa  
czy trzy razy:  
— "Czcigodni panowie! Szanowna ludno..." — poczem  
wysyła czcigodnych panów razem  
z szanowną ludnością do czarta i muzie komisyj rolniczych  
nie pozostaje nic  
innego, jak tylko odwrócić się, zakrywszy z bólu oblicze...  
O! zasłoń swoje lica muzo komisyj rolniczego konkursu!...  
Kiedy po całogodzinnem  
czekaniu ludzie pana podprefekta, zaniepokojeni o swego  
pana. wkroczyli do  
lasku, oczy ich ujrzały widowisko, przed którym cofnęli się ze  
zgrozą...  
Pan podprefekt leżał rozciągnięty na brzuchu, jak cygan  
rozmamany... W tej  
pozie, zrzuciwszy swój piękny frak, żuł fiołki i układał  
wiersze!

## ZGON "SEMILLANTY."

Ponieważ mistral, który dał tamtej nocy, zapędził nas ku  
wybrzeżom Korsyki,  
pozwólcie, że wam opowiem straszną historię morską, którą  
rybacy w tamtej  
okolicy opowiadają często w godzinie zmierzchu, a o której  
przypadek dostarczył  
mi garstkę nader ciekawych szczegółów.  
... Było to temu lat dwa, czy też trzy. Pływałem po morzu  
sardyńskim w  
towarzystwie siedmiu czy ośmiu marynarzy z służby cłowej.  
Ciężka podróż dla

nowicyusza. Przez cały miesiąc nie mieliśmy ani jednego pogodnego dnia. Wiatr wschodni wziął się na nas i morze nie przestawało się burzyć ani na chwilę.

Pewnego wieczora, zmykając przed burzą, schroniliśmy się z naszym statkiem u wejścia do cieśniny Bonifacio w pośrodku mnóstwa drobnych wysp... Widok ich nie miał w sobie zaiste nic pociągającego: wielkie złomy nagich skał, pełnych ptactwa, tu i owdzie kępka piołunu, małe gromadki drzew mastyku, miejscami zaś w mule kawały pni gnijących... Ale na honor! na nocną kwaterę te skały posępne nadawały się przecież więcej niżeli stara, przez pół tylko pokryta barka, do której fale waliły się jak do siebie, to też byliśmy z tego schronienia bardzo kontenci.

Zaraz po wylądowaniu, podczas gdy załoga

rozpalała ognisko w celu uwarzenia polewki, dowódca barki zawołał mnie i pokazując mi małe ogrodzenie z białego muru, majaczące w mgle na krańcu wysepki, rzekł:

— Nie poszedłbyś pan na cmentarz?

— Na cmentarz?... A gdzież my właściwie jesteśmy, panie Lionetti?

— Na wyspach Laverzi. Tutaj to spoczywają zwłoki sześciuset ludzi z "Semillanty,"

w tem samym miejscu, gdzie się fregata rozbiła przed  
dziesięciu laty... Biedacy!  
Nie wiele oni odbierają wizyt... Chodźmyż ich przynajmniej  
pozdrowić, skoro już  
tu jesteśmy...  
— Z największą ochotą, dowódco.  
Jakiż on smutny ten cmentarz "Semillanty"!... Widzę go  
jeszcze, jego niski  
murek, jego żelazną zardzewiałą bramę, której nie mogliśmy  
otworzyć, jego  
milczącą kaplicę i setki- czarnych krzyżów, trawą zarosłych...  
Ani jednego  
wieńca z nieśmiertelników, ani jednego znaku czyjejs pamięci,  
nic... Biedna  
gromadka opuszczonych nieboszczyków! jakże im musi być  
zimno w ich przypadkowej  
mogile...  
Zatrzymaliśmy się tam chwilę, uklękli. Dowódca odmówił na  
głos modlitwę. Ogromne  
mewy, jedyni strażnicy cmentarza, latały kręgiem dokoła  
naszych głów,  
przyłączając chrapliwe swe krzyki do żałobnego lamentu fal.

Po odmówieniu modlitwy wróciliśmy smutni w tę stronę  
wyspy, gdzie barka stała na  
kotwicy. W czasie naszej nieobecności majtkowie nie tracili  
czasu. Zastaliśmy  
potężny ogień, płonący pod osłoną jednej z skał, i dymiący  
kociołek. Rozsiadłszy  
się w krąg, nogami ku ognisku, z czerwoną glinianą miseczką  
na kolanach każdy, w

niej dwie obficie skropione polewką krajanki razowego  
chleba, zaczęliśmy się  
posilać w milczeniu. Byliśmy przemoczeni, zgłodniali,  
przytem sąsiedztwo  
cmentarza zamykało ludziom usta... Swoją drogą po  
opróżnieniu miseczek i  
zapaleniu fajek wszczęła się gawędka. Naturalnie o  
"Semillancie. "

— Powiedzcież mi, proszę, jak się to stało? — czwałem się do  
dowódcy, który

podparłszy ręką głowę, spoglądał zadumany w ogień.

— Jak się to stało? — odparł dzielny Lionetti z ciężkiem  
westchnieniem.

— Niestety, kochany panie, nie ma pod słońcem człowieka,  
coby to mógł

powiedzieć. Wszystko, co nam wiadomo, ogranicza się do  
tego, że "Semillanta,"

zabrawszy oddział wojska, odkomenderowany do Krymu,  
wypłynęła z Toulonu

poprzedniego dnia wieczór, w brzydki czas. Przez noc  
pogorszyło się jeszcze.

Deszcz, wicher, morze wzburzone, jakiego nie widziano...

Rano wiatr trochę

złagodniał, lecz morze nie przestało się miotać a przytem mgła  
się podniosła

dyabelska, że nie dojrzałbyś ogniska o cztery kroki,.. Nic  
przypuściłbyś pan

nigdy, jaka

to zdradliwa rzecz taka mgła... A no nic. Myślę, że "  
Semillanta" musiała zaraz

zrana utracić ster, mgła bowiem nie trwa długo. Inaczej kapitan nigdyby się tu nie dał zagnać. Tęgi to był marynarz, znamy go wszyscy. Był on na Korsyce dowódcą stacyi całe trzy lata i znał te wybrzeża równie dobrze jak ja, co nic więcej oprócz nich nie znam.

— O której godzinie, wedle przypuszczeń, mogła się rozbić "Semillanta"?

— Prawdopodobnie w południe. Tak panie! w samo południe! Ale bo też do licha w

czasie mgły południe nie wiele więcej warte niżeli noc czarna. Jeden z

nadbrzeżnych celników opowiadał mi, że kiedy tego dnia wyszedł około wpół do

dwunastej z swego domku umocować okienice, wiatr zerwał mu kaszkiet, więc puścił

się za nim na czworakach wzdłuż brzegów, narażając się na porwanie przez fale.

Otóż człowiek ten, podniósłszy na chwilę głowę, zobaczył w niewielkiej

odległości przez mgłę wielki okręt bez żagli, gnany wichrem prosto na wyspy

Laverzi. Statek ten pomykał z taką nadzwyczajną szybkością, że celnik nie miał

nawet czasu przypatrzeć się mu. Wszystko wszakże pozwala przypuszczać, że była

to "Semillanta," ponieważ w pół godziny później pasterze na wyspie słyszeli, jak

na tych skałach... Lecz oto i ów pasterz, o którym mówię właśnie... Opowie panu

sam rzecz całą.

Dzień dobry Palombo... Chodź no się zagrzać trochę... Nie bój się!...

Człek w kapiszonie na głowie, którego zauważyłem chwilę przedtem, jak krążył dokoła naszego ogniska, i którego miałem za jednego z załogi, nie było mi bowiem wiadomem, że na wyspie znajduje się pasterz, — zbliżył się do nas nieśmiało.

Był to trędowaty starzec, zidyociały w trzech czwartych, dotknięty nie wiem już jaką chorobą, podobną do szkorbutu, od której obrzmiały wargi, zwisając, przedstawiały okropny widok. Wytlómaczono mu z wielkim trudem, o co chodzi.

Wówczas starzec, podnosząc wielkim palcem swą chorą wargę, opowiedział nam, że słyszał istotnie rzezonego dnia z swojej budy straszliwy trzask w stronie skał.

Ponieważ cała wyspa zalana była wodą, nie mógł więc wyjść, nazajutrz dopiero, otwarłszy drzwi, zobaczył brzegi zavalone szczątkami i zwłokami, które pozostawiło morze. Przerażony uciekł do swojej budy co tchu, aby sprowadzić ludzi z Bonifacio.

Zmęczony tak długą opowieścią, pastuch usiadł, komendant zaś zabrał ponownie głos:

— Tak jest, proszę pana, ten biedny starzec właśnie dał nam o wszystkim znać.

Był prawie obłąkany z przerażenia, od tego też wypadku mózg jego pozostał zamucony. I rzeczywiście było z czego... Wyobraź pan sobie sześćset trupów, tworzących na piasku stos wraz z szczątkami drzewa i strzę-

pami żagli... Biedna "Semillanta"!... Może roztrzaskało ją od jednego uderzenia i to na tak drobne okruchy, że pastuch Palombo zaledwie zdołał między szczątkami zebrać trochę szczap na sklecenie płotu koło swej budy... Co się tyczy ludzi prawie wszyscy zeszpeceni i porozrywani najokropniej... Zgroza przejmowała patrzeć na ich bezładnie pozczepiane ciała... Kapitana znaleźliśmy w galowym mundurze, księdza z stułą na szyi... W jednym kącie, między dwoma skałami małego chłopca okrętowego z otwartymi oczyma... Myślałby kto, że żyje jeszcze... Gdzież tam!... Było widać zapisane, że żywa dusza nie wyjdzie cało z tej katastrofy. W tem miejscu dowódca przerwał, aby zawołać: — Baczość! Nardi, ogień gaśnie... Nardi przyrzucił na ogień dwa czy trzy kawałki deski, napuszczone smołą, które buchnęły zaraz płomieniem... Lionetti mówił tymczasem dalej: — Najsmutniejszym w tej całej historyi było co panu teraz opowiem... Na trzy

tygodnie przed nieszczęściem mała korweta, odpływająca do Krymu podobnie jak i Semillanta, uległa rozbiciu w zupełnie taki sam sposób i prawie w tem samym miejscu, tylko że wtenczas powiodło się nam uratować załogę i dwudziestu żołnierzy od trainu, którzy się znajdowali na pokładzie... Także tam byli biedacy potrzebni — co? Zawieźliśmy ich do Bonifacio i trzymali u siebie przez całe dwa dni, a kiedy się przesuszili i pokrzepili: — "Adieu!

szczęśliwej drogi!"... — wrócili do Toulonu, gdzie w jakiś czas potem wsadzono ich znowu na statek w celu wysłania do Krymu... Zgadnij też pan na jakim statku?... Na "Semillancie" proszę pana!... na "Semillancie"!... Odnależliśmy ich między trupami wszystkich, wszystkich dwudziestu w tem właśnie miejscu, gdzie teraz jesteśmy... Sam z ziemi podniosłem przystojnego brygadyera, blondyna z ładnymi wąsami, Paryżanina, którego zakwaterowałem po pierwszym rozbiciu u siebie w domu, który nas bawił bez ustanku swymi dowcipami... Kiedym go ujrzał po katastrofie, myślałem, że mi serce pęknie... Ach! Santa Madre!... Po tych słowach dzielny Lionetti, ogromnie wzruszony, wytrząsnął tytoń z fajki i



owinąwszy się opończą, życzył mi "dobrej nocy"... Czas jakiś  
jeszcze majtkowie  
rozmawiali pomiędzy sobą półgłosem... Potem fajki poczęły  
gasnąć jedna za  
druga... gawęda ucichła... Poszedł i stary pasterz a ja zostałem  
sam, aby marzyć  
pośrodku uspięnej załogi...

Jeszcze pod wrażeniem ponurej opowieści, którą słyszałem  
przed chwilą,  
próbowałem odbudować w myśli biedny rozbity okręt i dzieje  
jego konania, którego  
jedynymi świadkami mewy były. Kilka szczegółów, które  
mnie uderzyły: kapitan w  
pełnej gali, stuła kapelana, dwudziestu żołnierzy trainu, były  
mi pomocne w  
przeniknięciu wszystkich perypetyj dramatu... Ujrzałem  
fregatę, opuszczającą,

Toulon nocą... Morze jest niespokojne, wicher dmie  
straszliwy, ale kapitan  
statku to tęgi marynarz, więc wszyscy na pokładzie są  
spokojni...  
Rano podnosi się mgła. Płynących ogarnia niepokój. Cała  
załoga na pokładzie.  
Kapitan nie opuszcza ani na chwilę pomostu komendanta. Pod  
pokładem, gdzie  
umieszczono żołnierzy, robi się, czarno; powietrze staje się  
duszne. Niektórzy  
czują się chorzy, poukładali się na swych tornistrach. Okręt  
zaś kołysze się

straszliwie, nie można się na nogach utrzymać. Ci, co się  
zabawiali gawędką,  
siadają na podłodze grupami, trzymają się łąw; kto chce być  
słyszany, musi  
krzyczeć. Tego i owego poczyna zdejmować' strach...  
Słuchajcie tylko!...

Rozbicia w tych stronach nie należą do rzadkości... Ci  
dwudziestu od trainu jak  
na toż są pod ręką a to, co mają w tej materji do  
opowiedzenia, nie brzmi  
bynajmniej uspakajająco... Brygadyer ich zwłaszcza,  
Paryżanin, nie przestający  
ani na chwilę blagować, puszcza się na dowcipy, od których  
słuchający dostają  
gęziej skórki...

— Rozbicie!... Ależ bardzo wesoła rzecz takie rozbicie!...  
Pokosztujemy  
wprawdzie przytem troszeczkę za zimnej kąpieli, ale nas za to  
potem odeszłą do  
Bonifacio na pieczone szpaki do dowódcy Lionetti.  
Podkomendni brygadyera w śmiech.  
Wtem — trzask!... Co to?... Co się dzieje?...

— Straciliśmy ster — odrzeczcie majtek, cały zmoczony,  
przebiegając w tej chwili  
pod pokładem.

— Przyjemnej podróży! — woła za nim ten waryat brygadyer,  
nikt jednak nie  
rozśmiał się z żartu tym razem.  
Ogromny popłoch na pokładzie... Mgła nie pozwala widzieć  
się wzajemnie...

Majtkowie przebiegają tam i sam po omacku, przerażeni... Nie ma stera!...

Kierowanie statkiem niemożliwe... "Semillanta" pędzi samopas, gdzie ją wiatr gna... W tej to chwili strażnik cłowy widział ją mknącą bez żagli przez fale...

Godzina pół do dwunastej... Na przednim końcu fregaty słycać jakby walenie z działa... To huk fal, uderzających o skały!... To: skały!!...

Wszystko zatem skończone, nie ma żadnej nadziei, okręt pędzi prosto na ląd...

Kapitan zbiega do swej kajuty... W mgnieniu oka zjawia się na swoim mostku z powrotem w pełnej gali... Chciał się wystroić na śmierć...

Pod pokładem żołnierze, wylękli, spoglądają jeden na drugiego bez jednego

wyrazu... Chorzy próbują się podnieść... Jasnowłosy brygadyer przestał się

śmiać... W tej chwili drzwi się otwierają i kapelan w stule ukazuje się na

progu:

— Na kolana — dzieci!...

Wszyscy spełniają rozkaz, ksiądz rozpoczyna donośnym głosem modlitwę za konających.

Naraz przestraszne wstrząśnienie a potem krzyk, jeden jedyny krzyk, krzyk nie do opisania, wzno-

szące się ramiona, ręce, usiłujące się czegokolwiek czepić  
kurczowo, oczy,  
przeżone błyskawiczna zjawą śmierci... Miłosierdzia!...

Tak przepędziłem noc całą, śniąc, wywołując, po latach  
dziesięciu, ducha  
biednego statku, którego resztki zalegały dokoła wyspę... W  
dali, w cieśninie,  
szalała burza, płomienie biwakowego ognia kładły się pod  
podmuchami wiatru,  
słysząc było jak barka podskakuje u podnóża skał wśród  
zgrzytu kotwicy.